

Z PRZERAŻENIA SERCE PODEJDZIE WAM DO GARDŁA,
ALE NIE PRZESTANIECIE CZYTAĆ.

„Kirkus Reviews”

NOWA
SERIA!

LISA
GARDNER

KANION
ŚMIERCI

Przywykłam do bycia myśliwym.
Nigdy dotąd nie byłam zdobywcą.

ALBATROS

AMERYKAŃSKA MISTRZYNI THRILLERA KRYMINALNEGO

Tytuł oryginału:
ONE STEP TOO FAR

Copyright © Lisa Gardner, Inc. 2022
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © Jerzy Żebrowski 2023

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Projekt graficzny okładki: Justyna Nawrocka

Zdjęcie na okładce: © Jasmine Aurora/Arcangel Images

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



ALBATROS

Rozdział 1

PIERWSI TRZEJ MĘŻCZYŹNI DOWLEKLI SIĘ do miasta krótko po dziesiątej rano. Bełkotali coś o tajemniczych upiornych krzykach, o ich zaginionym kumplu Scotcie i drugim koledze, Timie, który opuścił obóz przed świtem, by wezwać pomoc.

– Niedźwiedź, niedźwiedź... – jęczał pierwszy.

– Puma! – upierał się drugi.

Trzeci z wymiotował.

Może to prawda, może nie, pomyślała Marge Santi, omijając kałużę rzygów. Posadziła młodych mężczyzn w narożnym boksie swojej restauracji, po czym sięgnęła po telefon i zadzwoniła do Nemetha. Dla porządku skontaktowała się również z szeryfem Jimem Kelleyem, szanowanym przez miejscowych miłym facetem, który miał na głowie całe hrabstwo i starał się temu sprostać.

Od awaryjnych sytuacji był Nemeth. Jako były strażnik Lasu Narodowego Shoshone, a teraz lokalny przewodnik, wiedział, jak się do tego zabrać. Najpierw napoił trzech mężczyzn kawą. Sądząc z intensywności zapachu strachu i gorzały, dobywającego się z porów ich skóry, nie potrzebowali niczego więcej. Po kolejnych dwóch filiżankach znał już niemal całą historię.

Pięciu mężczyzn wyruszyło w weekend do lasu na wieczór

kawalerski. Wszyscy znali się od studiów i mieli pewne doświadczenia w biwakowaniu, choć ci trzej byli zgodni, że to przyszyły pan młody, Tim, im przewodził. Chodził z ojcem po górach, odkąd skończył sześć lat. To z jego inicjatywy pojechali na biwak. Pozostała czwórka nie miałaby nic przeciwko temu, by pograć w weekend w golfa albo spędzić luksusowo czas w hotelu z kasynem. Ale Tim czuł się szczęśliwy na łonie natury, więc wyruszyli w góry. W pełni wyposażeni – w plecaki, namioty, śpiwory, dwupalnikową kuchenkę gazową, puszki z fasolą i frankfurterkami i oczywiście tyle piwa i whiskey, ile mogło unieść pięciu sprawnych młodych mężczyzn. Czyli sporo. Nie byli jednak kompletnymi idiotami. Tim znał się na rzeczy i osobiście nadzorował pakowanie.

Wczoraj pokonali jedenaście kilometrów w poszukiwaniu idealnego miejsca na biwak w jednym z głębokich kanionów w pobliżu szerokiej rzeki. Gdy je znaleźli, rozbili namioty i otworzyli pierwszy sześciopak piwa; pozostałe cztery wstawili do lodowatej wody.

O tej porze roku zmierzch zapadał szybko. Ale wszystko było w porządku. Rozpalili ognisko, upiekli kielbaski i zjedli prosto z puszek fasolę w sosie pomidorowym. Posypały się pikantne dowcipy.

Pili piwo, a potem whiskey. Ile alkoholu może wypić pięciu zdrowych młodych mężczyzn? Dużo. Nie musieli nigdzie iść, prowadzić samochodu ani odbierać natarczywych telefonów, zważywszy na brak zasięgu.

Byli tylko oni i rozgwieżdżone niebo. Opróżnili pierwszą butelkę bourbona Maker's Mark i zaczęli drugą. Tim siedział przy ognisku i gryzmołił coś na kartce papieru. Notował słowa przysięgi małżeńskiej, pisał list do ukochanej? Podpytywali go żartobliwie, ale nie chciał się przyznać.

Robiło się późno. Nikt nie wiedział, która godzina, i nie miało to znaczenia. Położyli się w końcu spać, po dwóch w

namiocie. Tim, przyszedł pan młody, miał namiot tylko dla siebie. To była jedna z ostatnich w jego życiu nocy, gdy miał spać sam. Żartowali, że powinien się tym cieszyć, póki może.

I nagle...

Ostry, przenikliwy skowyt. Rozdzierający ciszę otaczającego ich lasu.

– Grizzly – rzucił teraz Neil, który siedział w kącie restauracji.

– Puma – upierał się Josh.

Miguel, na którego mówiono Miggy, wypełznął z boksu i ponownie zwymiotował.

Może tak, może nie, pomyślał Nemeth. Marge przyniosła mopa.

Mężczyźni na biwaku wyskoczyli z namiotów i nerwowo omiatali teren latarkami, próbując ustalić źródło skowytu. Rozpalić ognisko, zarządził Tim. Narobić hałasu. Sprawdzić dokładnie zapasy żywności, które ukryli między drzewami za obozowiskiem.

I dlatego dopiero po pięciu, a może nawet dziesięciu minutach zdali sobie sprawę, że z pięcioosobowej grupy zostało ich tylko czterech. Gdzie, do cholery, podział się Scott?

Miggy dzielił z nim namiot i nie miał pojęcia, gdzie kolega zniknął.

– Kurwa... nie wiem – zwrócił się do Nemetha między kolejnymi skurczami żołądka.

Przyszedł pan młody potraktował sprawę poważnie. Scott mógł pójść się wysikać. Mógł zwyczajnie się oddalić, pijany i zdezorientowany. Ale zważywszy na niską temperaturę, niebezpieczną okolicę i obecność drapieźników, musieli go znaleźć.

Tim podzielił ich na dwie pary. Ta, w której się znalazł, ruszyła na północ od obozu, a druga miała przeszukać las na południu. Ci, którzy znaleźliby Scotta pierwsi, mieli dać sygnał

gwizdkiem.

Nikt go jednak nie znalazł. Szli w górę i w dół rzeki, zapuszczając się coraz głębiej w las. Ani śladu Scotta. Odkryli jednak podeptane zarośla. Połamane gałęzie. Być może krew.

– Niedźwiedź grizzly – jęknął teraz Neil.

– Puma – trwał przy swoim Josh.

– Ja pierdołę! – wyszeptał Miggy.

Z tym Nemeth się zgadzał.

O czwartej nad ranem, gdy jesienne powietrze stało się przenikliwie zimne, a bezchmurna noc nieubłaganie mroczna, Tim podjął decyzję: potrzebowali pomocy, a zważywszy na całkowity brak zasięgu, pozostawało im jedynie zawrócić tam, skąd przysli. Jako najbardziej doświadczony – i trzeźwy – członek grupy chwycił plecak, włączył niezawodną latarkę i wyruszył w kierunku cywilizacji.

Neil, Josh i Miggy zostali; jeszcze przez trzy godziny siedzieli skuleni przy ognisku, żłopiąc wodę i wpadając w coraz większą panikę. O brzasku napełnili manierki i ruszyli w drogę. Zostawili wszystko: namioty, śpiwory, żywność. Młodzi mężczyźni, sprawni i prawie już trzeźwi, postanowili uciec stamtąd w cholerę najszybciej, jak to możliwe.

Ale nie było to łatwe. Kiedy się dało, biegli, ale często musieli z mozołem pokonywać górzysty teren; wdrapywali się na skały, przedzierali się przez chaszczce, brnęli przez strumienie. Aż dotarli do początku szlaku, gdzie stały wypożyczone przez nich quady. Było ich pięć. Czy nie powinny być tylko cztery? Wtedy zaczęli się martwić o Tima.

Quadami dotarli do miasta i znaleźli restaurację. I tu poprosili o pomoc. Nemetha. Szeryfa. Kawalerię. Myśliwych z wielkimi strzelbami. Jakiegokolwiek wsparcie. Ratunek.

Nemeth rozłożył mapę i kazał mężczyznom odtworzyć ich trasę. Wiedzieli, gdzie miała początek, bo jak wiele górskich szlaków była oznakowana, zanim zaczęła przebiegać po mniej

uczęszczanym skalistym terenie. Zdecydowanie nieodpowiednim dla osób o słabym sercu. Ale mężczyźni potrafili wskazać, gdzie biwakowali nad rzeką. Nemeth, wiodąc palcem z tego miejsca wzdłuż różnych formacji geologicznych, intensywnie się zastanawiał. Marge wykonała parę telefonów i zaparzyła więcej kawy.

Jako górskie miasteczko dysponowali lokalną ekipą piętnastu ochotników do akcji poszukiwawczych i ratunkowych. Biorąc jednak pod uwagę okoliczności, tym razem potrzebowali pomocy wszystkich. Sąsiedzi kontaktowali się ze sobą, zewsząd zaczęli napływać ludzie, a Nemeth robił to, co potrafił najlepiej: koordynował akcję.

Na początek zorganizował grupy szybkiego działania, składające się z najlepszych poszukiwaczy. Chciał, by jak najszybciej spenetrowali kluczowe obszary wokół miejsca, gdzie widziano ostatnio dwóch zaginionych mężczyzn. Zważywszy na przeciętną odległość, jaką człowiek może pokonać w ciągu godziny w takim terenie, Nemeth zakreślił na mapie wielki krąg, zaznaczając w ten sposób główną strefę poszukiwań. Jego ludzie, poruszając się pieszo, quadami albo konno od obwo-
du do centrum tego kręgu, mieli skrupulatnie przeszukać cały teren, wypatrywać zaginionych mężczyzn, ale także wszelkich śladów, które dostarczyłyby informacji, dokąd mógł się udać człowiek doświadczony w górskich wędrówkach i jego pijany kumpel Scott.

W Ramsey w Wyoming, liczącym cztery tysiące mieszkańców miasteczku, usytuowanym na skraju Popo Agie Wilderness, było wielu ludzi doświadczonych w górskich wędrówkach. Z górami wiązał się ich styl życia, a często także praca. Nemeth był jak stary generał dysponujący wyszkolonymi żołnierzami.

Dlatego rodzinie Tima trudno było zaakceptować to, co wydarzyło się później. Po pierwszych ośmiu godzinach poszukiwań odnaleziono Scotta, idącego na oślep wzdłuż skalistego

brzegu rzeki. Wyraźnie zdezorientowany i zszokowany, był w kalesonach, miał podrapaną twarz i brud za paznokciami.

- Grizzly – wyszeptał Neil.
- Puma – rzucił Josh.
- Cholera... – jęknął Miggy.

Nawet kiedy Scott wytrzeźwiał, nie potrafił wyjaśnić, gdzie był i co robił. Pamiętał, że pił z kolegami przy ognisku i żartował z Tima, że przygotowuje małżeńską przysięgę. Potem położył się spać i... Nastął świt. Zimny. Bardzo zimny. Scott szedł boso, aż odnalazł drogę do rzeki. W końcu pojawili się jacyś ludzie, rozległ się przenikliwy dźwięk gwizdka i znalazł się tutaj... ale zaraz... Gdzie jest Tim?

Timothy O'Day. Trzydzieści trzy lata, pierwszy członek rodziny, który poszedł na studia i ukończył Uniwersytet Stanu Oregon z tytułem inżyniera mechanika. Opisywany przez krewnych i przyjaciół jako prawdziwy MacGyver. Zaręczony z Latishą Gibbons, którą przedstawił mu trzy lata wcześniej kolega z uczelni, Neil. Latisha pochodziła z Atlanty, pracowała w marketingu, spędzała aktywnie weekendy – chodziła po górach, jeździła na rowerze albo na nartach – i była równie szalona jak jej przyszły mąż.

Wszyscy uważali, że pięknie razem wyglądają. Stanowili idealną nowoczesną parę. Mieli kupić dom, zaadoptować labradora i spłodzić dwójkę wspaniałych dzieci, które będą biegały po górskich szlakach, przez zbocza i strumienie.

Mieli wieść cudowne życie.

Tymczasem godziny wlokły się jak dni, a dni jak tygodnie.

W Ramsey pojawili się rodzice Tima. Jego ojciec Martin przyjechał samochodem z Oregonu z całym zestawem sprzętu wspinaczkowego w bagażniku. Ten szczupły i ogorzały mężczyzna był z zawodu cieślą, doświadczonym w górskich wyprawach i gotowym przejąć dowodzenie. W przeciwieństwie do niego matka Tima, Patrice, miała niemal przezroczytą skórę.

Jak dowiedzieli się miejscowi, chorowała na raka; piętnaście lat temu miała przerzuty i ledwie z tego wyszła.

Marge uznała za swój obowiązek zrobić jej kawę i podać dyskretnie leki.

Martin odbył rozmowę z Nemethem i szeryfem Kelleyem, którzy dowodzili akcją poszukiwawczą. Początkowo przytakiwał, aprobował ich decyzje, wyrażał wdzięczność. Ale po pięciu dniach zaczął kwestionować ich działania i wpadać w gniew. Siódmego dnia wyruszył do lasu sam i prychał ze złości, gdy Nemeth i szeryf próbowali go zatrzymać.

Grupy szybkiego działania przestały działać szybko. Akcja poszukiwawcza spowolniła, stała się bardziej metodyczna; nie liczone już na łatwy sukces, więc skupiono się na przeczesywaniu terenu krok po kroku, ścieżka po ścieżce, metr po metrze. Śmigłowce penetrowały cały obszar promieniami podczerwieni. Psy poszukiwawcze próbowały znaleźć trop w wyznaczonych miejscach. Paru jasnowidzów dostarczyło informacji, gdzie należy szukać: wskazywali głównie na rwące strumienie i mroczne jaskinie.

Pojawili się kolejni ochotnicy. Przybyła z pomocą Gwardia Narodowa. Ale po dwudziestu trzech długich dniach – męczących i wyczerpujących – spadła temperatura i wyższe partie gór pokrył śnieg.

Poszukiwacze powrócili do normalnego życia, grupy z psami – do domów. Śmigłowce skierowano do nowych zadań. Pozostali tylko krewni i przyjaciele.

Martin O'Day najdłużej kontynuował szlachetną walkę. Miał ogromne doświadczenie i tę przewagę nad innymi, że to on wyszkolił syna. Prowadził w góry jedną ekspedycję za drugą, podczas gdy Patrice, z narzeczoną syna u boku, udzielała wywiadów prasie. Obie były uosobieniem żalu i rozpacz. Koledzy Tima z uczelni, Neil, Josh, Miggy i Scott, starali się pomagać, jak mogli, ale musieli godzić to z obowiązkami

rodzinnymi i zawodowymi.

Ojciec Tima poszukiwał najpierw syna, potem wszelkich śladów, jakie mógł pozostawić, a na koniec zaczął szukać jego szczątków.

- Niedźwiedź grizzly – szeptął Neil.
- Puma – przekonywał Josh.
- Niech to cholera – kłął Miggy.

Las i góry nigdy nie udzieliły im odpowiedzi. Mijały kolejne pory roku, potem lata i Timothy O'Day okazał się jeszcze jednym człowiekiem, który zaginął bez wieści.

WIĘKSZOŚĆ LUDZI NIE WIE, że w Stanach Zjednoczonych na terenach należących do państwa zaginęło bez śladu co najmniej tysiąc sześćset osób, a może nawet znacznie więcej. Turyści, wycieczkowicze, dzieci uczestniczące w rodzinnych biwakach. W jednej chwili są z nami, a zaraz potem znikają.

Nie ma krajowej bazy danych do śledzenia takich przypadków. Nie istnieje scentralizowany system szkolenia do akcji poszukiwawczo-ratunkowych, a w wielu sytuacjach brak nawet wyraźnych przepisów, które by określały, kto ma je przeprowadzać. Nie ma również odpowiednich funduszy. Prowadzona na dużą skalę akcja poszukiwawcza może kosztować powyżej trzystu tysięcy dolarów dziennie. Dla wielu szeryfów hrabstw jest to roczny budżet.

Co oznacza, że gdy odchodzą ochotnicy, akcja ratunkowa się kończy, a rodzina pozostaje z niewielkimi nadziejami i niezamkniętą sprawą. Większość rodzin będzie kontynuowała poszukiwania na własną rękę, jak długo będą mogli. Niektórzy, jak Martin O'Day, robią to co roku, korzystając z pomocy przyjaciół, funduszy zdobywanych przez internet i rad ekspertów.

W artykule lokalnej gazety wyczytałam, że Martin organizuje poszukiwania od pięciu lat. W sierpniu tego roku zamierza

spróbować po raz ostatni. Jego żona Patrice umiera na tego samego raka, który próbował uśmiercić ją już wcześniej, i chce po raz ostatni zobaczyć syna. Chce zostać pochowana obok niego.

Siedzę w restauracji niewiele różniącej się od tej, do której musieli wpaść w pośpiechu towarzysze wyprawy Tima O'Daya. Spędziłam ostatnich dwanaście godzin w autobusie i łapię teraz oddech w stanie Wyoming, gdzieś na zachód od Cheyenne i na południe od Jackson. Nie wiem zbyt dokładnie, gdzie jestem, i cieszę się poczuciem wolności, życiem w drodze. Czytam ponownie artykuł, a potem raz jeszcze. Coś w tej historii głęboko mnie poruszyło i nie daje mi spokoju.

Nazywam się Frankie Elkin i zajmuję się poszukiwaniem osób zaginionych. Kiedy policja zamyka sprawę, opinia publiczna o niej zapomina, a media nigdy się nią nawet nie interesowały, ja zaczynam szukać. Nie dla pieniędzy ani dla sławy i w większości przypadków bez pomocy kogokolwiek.

Nie mam profesjonalnego przygotowania. Nie jestem byłą policjantką, prywatnym detektywem ani nikim szczególnym. Jestem tylko sobą. Przeciętną białą kobietą w średnim wieku, która nie ma majątku i nie ma czego żałować. Próbowałam kiedyś prawdziwego życia. Miałam dom, pracę i mężczyznę, który kochał mnie wystarczająco, by trzymać mnie za rękę, kiedy walczyłam, by wytrzeźwieć.

W końcu ściany się zamknęły i pochłonęła mnie bezlitosna monotonia. A człowiek, który mnie kochał...

Pewnego dnia kobieta uczestnicząca w spotkaniach AA opowiedziała o córce, która zaginęła, i braku zainteresowania policji odnalezieniem dziewczyny z przeszłością. Zaintrygowało mnie to, zaczęłam zadawać pytania i postanowiłam ją odszukać. Niestety, jej pojebany chłopak wołał ją sprzątnąć i zostawić ciało w jakiejś melinie, niż pozwolić jej odejść. Mimo że ten przypadek nie miał szczęśliwego zakończenia, a może właśnie dlatego, wkrótce zajęłam się kolejną sprawą, a potem

następną.

Minęło dziesięć lat i teraz na tym polega moje życie. Podróżuję z miejsca na miejsce, uzbrojona jedynie w dobre intencje. Właśnie jadę autobusem do Idaho, żeby zająć się przypadkiem Eugene'a Santiago, ośmioletniego chłopca, który zniknął przed szesnastoma miesiącami. Przeczytałam o jego zaginięciu na jednym z wielu forów internetowych dotyczących nierozwiązanych spraw. Dostrzegłam coś w smutnych ciemnych oczach i bardzo poważnym uśmiechu chłopca. Nie zawsze wiem, dlaczego wybieram dany przypadek. Jest ich tak wiele. Ale zauważam nagłówki, czytam artykuły i po prostu wiem.

Podobnie jak teraz, myślę, odkładając gazetę. Od dawna nie prowadziłam poszukiwań w lesie. Pracuję głównie w niewielkich wiejskich społecznościach albo w gęsto zaludnionych miastach. Skłaniam się bardziej ku przypadkom dzieci niż dorosłych, ku przedstawicielom mniejszości etnicznych niż białym. Moją misją jest pomaganie tym, których pozostawiono bez pomocy, a rodziny tych tysiąca sześcuset osób zaginionych w publicznych miejscach potwierdzą, że się do nich zaliczają.

Myślę przede wszystkim o matce Timothy'ego O'Daya, która chce być pochowana obok syna.

Eugene Santiago zaginął prawie półtora roku temu. Kilka dodatkowych tygodni nie zrobi różnicy. I choć być może nie ma szans na znalezienie Timothy'ego O'Daya żywego, to wiem z doświadczenia, że przywiezienie w końcu do domu ciała wiele znaczy.

Sięgam po rozkład jazdy autobusów i planuję nową trasę podróży.

Rozdział 2

JEŚLI CZŁOWIEK JEST BIEDNY, musi mieć cierpliwość. Nie mam samochodu ani konta w banku, dzięki któremu mogłabym wynająć auto, by dostać się do miasteczka Ramsey w stanie Wyoming. Co oznacza, że muszę dojechać autobusem z punktu A do B i z B do C. Przystanki autobusowe są bardziej różnorodne, niż wiele osób sobie wyobraża. Bywają piękne dworce z toaletami i restauracjami. Albo takie miejsca jak to: samotna przydrożna stacja benzynowa z minimarketem.

Autobus odjeżdża, a ja zostaję i próbuję zorientować się w okolicy. Jest wczesne popołudnie. Mam nad głową błękitne niebo, które kojarzę z pocztówkami i życiem innych ludzi. Wiejska droga wiję się ciemnoszarą wstęgą między wznoszącymi się za mną odległymi szczytami i położonymi niewiarygodnie blisko wysokimi górami, które widzę przed sobą.

Nie byłam nigdy w Wyoming. Na razie wszystko mi się tu podoba. Zapach ciepłej ziemi i wysuszonej na słońcu trawy. Płynące z minimarketu dźwięki muzyki country. Przejeżdżające obok ciężarówki i naczepy do przewozu bydła.

Czuję się równocześnie podekscytowana i przerażona tą wielką niewiadomą. To, że nie lubię być uwiązana, nie oznacza wcale, że odpowiada mi nadmierna swoboda ruchu.

Wchodzę do zakurzonego niewielkiego minimarketu. Starszy mężczyzna z krzaczastymi brązowymi włosami i w spłowiałej czerwonej bejsbolówce spogląda na mnie zza kasy. Wita mnie skinieniem głowy i twardym spojrzeniem; najwyraźniej od razu rozpoznaje we mnie obcą. Zdażyłam się już do tego przyzwyczać. Nigdzie nie traktują mnie jak swojej, wszędzie jestem tylko przejazdem.

Wykosztowuję się na batonik i butelkę wody, po czym siadam obok regału z broszurami reklamującymi miejscowe atrakcje. Mężczyzna wraca do lektury czasopisma. Nie wzbudzam jego zainteresowania.

Zwykle planuję działania z dużym wyprzedzeniem. Sprawdzam ogłoszenia dotyczące pracy w danym miejscu i możliwości zakwaterowania. Ale teraz, pod wpływem nagłego impulsu, działam na ślepo. Nie potrafię określić, czy jest to niewiarygodnie śmiałe, czy niewyobrażalnie głupie. Wiele moich decyzji wywołuje takie wątpliwości.

Większość ludzi wyjęłaby smartfony i poszperała w Google'u. Niestety, moja praca – obsesyjne poszukiwanie zaginionych osób – jest bezpłatna, a dodatkowe zajęcie, zwykle posada barmanki na pół etatu w miejscu chwilowego pobytu, przynosi niewielkie dochody. W efekcie mój „smartfon” jest starego typu komórką o ograniczonych możliwościach. W najlepszym razie może odebrać esemesa. Google zredukowałby go do grudki stopionych mikrochipów.

Nie mam również komputera ani nawet tabletu. Chętnie korzystałabym z takich luksusów, ale nie prowadzę koczowniczego życia, tylko życie wysokiego ryzyka. Wiele miejsc, w których bywałam, słynie z przestępczości i niechęci do obcych. Włamywano mi się do mieszkań, które wynajmowałam, niszczone dobytek. Dobrzy gliniarze mierzyli do mnie z broni, a zrozpaczeni krewni atakowali rozbitymi butelkami po piwie.

Pozbyłam się wszelkich materialnych dóbr, bo czułam, że

mnie zniewalają. Teraz nie posiadam żadnej rzeczy, na której utratę nie mogłabym sobie pozwolić, bo nie chcę zginać pewnego dnia, próbując obronić coś, o co nigdy właściwie nie powinnam się troszczyć.

Gdybym była w pobliżu dużego miasta, skorzystałabym z kafejki internetowej albo biblioteki publicznej, żeby zdobyć informacje. Ale teraz, zważywszy, że jestem uziemiona na stacji benzynowej gdzieś w środku Wyoming, pozostają mi broszury turystyczne.

Widzę zdjęcia owiec z wielkimi rogami, skalistych gór i błękitnych jezior. Mogę popробować jazdy konnej, wspinaczki wysokogórskiej, polowania albo wędkarstwa. Znajduję ostrzeżenia przed niedźwiedziami – *Bądź świadomy zagrożenia!* – mapy lokalnych szlaków i przepisy dotyczące zrywania polnych kwiatów. Po ostatnich dziesięciu miesiącach spędzonych w centrum Bostonu i smutnym zleceniu w pobliżu Memphis zdjęcia wspañiałych plenerów przypawiają mi o zawrót głowy.

Ale znów odzywa się lekki niepokój. Prowadziłam już poszukiwania w terenie, nigdy jednak nie w tak skalistych górach. Chodziłam po lasach, lecz nie wiem nic o niedźwiedziach grizzly. Poszukiwania zwykle doprowadzały mnie do smutnych odkryć, mimo to moim wyznaczonym celem nie było odnalezienie zwłok.

Myślę o Patrice O'Day, która chce być pochowana obok syna.

– Dlaczego cudze problemy muszą być twoimi? – utyskiwał Paul. – Kiedy wreszcie zdasz sobie sprawę, że to ty jesteś najważniejsza? Ty, Frankie. Kocham ciebie.

Nie rozmawiam już z Paulem. Ale czasami dzwonię do jego żony, która została wdową.

Kończę właśnie szczegółową analizę lokalnych danych wywiadowczych, gdy przed stacją benzynową zatrzymuje się

sfatygowany pick-up Chevroleta. Skrzynia jest wyładowana belami słomy, a boki ochłapane błotem. Wysiada z niego kobieta w wytartych dżinsach, podkoszulce bez rękawów i płowym kowbojskim kapeluszu.

Świetnie.

Żegnam skinieniem głowy milczącego mężczyznę za kasą i wychodzę na zewnątrz, by ponegocjować w sprawie mojego następnego środka transportu.

WYCHOWAŁAM SIĘ W MIASTECZKU w północnej części Kalifornii. Mój ojciec był najsympatyczniejszym na świecie pijaczyną, a matka, choć wciąż na niego zła, przyczyniała się do tego, że trwał w nałogu. Gdy on pił, ona pracowała. Pracowała tym więcej, im więcej pił.

Co oznacza, że żadne z nich nie poświęcało zbyt wiele czasu mnie. Biegałam swobodnie, zanim zaczęliśmy się przejmować zagrożeniami ze strony obcych i zastanawiać, jacy samotni mężczyźni kręcą się po placach zabaw. Jak większość dzieci miałam używany rower z zardzewiałą ramą i oklejonym taśmą siodelkiem. Jeździłam nim wszędzie. Choć oczywiście dziewczyna nie może pojechać na rowerze zbyt daleko. Co znaczyło, że jeśli ja albo inne dzieci chcieliśmy dotrzeć do sklepiku, żeby wydać oszczędności na żelki za dwa centy, jechaliśmy autostopem. Stawaliśmy przy głównej drodze i wyciągaliśmy w górę kciuki.

Czasem było nas sześcioro, stłoczonych z tyłu pojazdu, którego kierowca zlitował się nad nami. Czasami byłam tylko ja i moja przyjaciółka Sophie. A nieraz podróżowałam sama, bo tata już nie żył, a mama późno wracała do domu. I nawet wtedy nie mogłam usiedzieć w miejscu.

Nigdy nie przejmowałam się tym, czy bezpiecznie jest wsiadać do samochodu obcego człowieka. Tak po prostu robiliśmy.

W dzisiejszych czasach większość rodziców odradzałaby to swoim dzieciom, a jednak w wielu miejscach na wsi autostop pozostaje nadal sposobem na przemieszczanie się. Masowa komunikacja istnieje tylko w dużych miastach. Taksówki, ubery, wynajem samochodów – to udogodnienia dla mieszcuchów.

Miasteczko Ramsey leży ponad dwadzieścia kilometrów od końcowego przystanku autobusu. Trochę za daleko, by iść pieszo w palącym sierpniowym słońcu, w dodatku przy bezlitośnie suchym powietrzu. Więc muszę poprosić o podwiezienie.

Podchodzę do kobiety tankującej paliwo. Podnosi wzrok i wita mnie skinieniem głowy. Jest mniej więcej w moim wieku, ma ogorzałą skórę i szczupłe, umięśnione ramiona. Na pewno jeździ konno – widzę to po jej postawie. Od razu przypada mi do gustu, ale to jedna z moich nielicznych supermocy: mimo zamięłowania do samotności lubię przebywać z ludźmi.

Pozostaje jednak zawsze intrygujące pytanie, czy ludzie lubią mnie.

– Jestem Frankie Elkin – przedstawiam się. – Chcę się dostać do Ramsey. Jeśli jedzie pani w tym kierunku, mam nadzieję, że mnie pani podwiezie.

Kobieta patrzy na mnie, moją walizkę na kółkach i sfatygowaną brązową torbę ze skóry. Zastanawiam się, co widzi, a czego być może nie dostrzega. Nie jestem stara. Ani młoda. Nie jestem piękna, ale i nie odrażająca. Nie jestem stąd – przybywam znikąd.

Odwiesza pistolet na dystrybutor i zakręca korek zbiornika paliwa.

– Mam pieniądze na benzynę – proponuję, próbując sobie przypomnieć, ile gotówki włożyłam do przedniej kieszeni. Zostało mi sto dwanaście dolarów. W porządku, mogę przeżyć za mniejszą sumę.

– Kim pani jest? – pyta kobieta.

– Frankie...
– Nie. Kim pani jest?
– W zasadzie jestem zawodową barmanką.
– Dlaczego chce się pani dostać do Ramsay?
– Oprócz tego, że jestem barmanką, poszukuję zaginionych osób i interesuje mnie przypadek Timothy’ego O’Daya.
– Jest pani dziennikarką?
– Nie. Kimś, kto szuka ludzi. – Wzruszam ramionami. – Istnieje większe zapotrzebowanie na takich jak ja, niż mogłaby pani podejrzewać.

– To pani cały bagaż?

– Tak.

– A gdzie plecak? Buty do wspinaczki? Sprzęt biwakowy?

Spoglądam na moją walizkę takiej wielkości, że można by ją wziąć do kabiny samolotu, poobijaną po podróżach do tyłu miast, przejechaniu tyłu kilometrów autobusami. Ta amazonka ma rację. Nie zabiorę takiego bagażu w góry. Moja spontaniczna decyzja mogła być więc nie do końca przemyślana. To jednak nigdy dotąd mnie nie powstrzymało.

– Wymyślę coś – rzucam.

Kobieta opiera się o pick-upa i krzyżuje ręce na piersiach. Lustruje mnie od stóp do głów. Nie odmówiła, co dla mnie oznacza zgodę, ale wymaga nieco cierpliwości.

– Skąd mam wiedzieć, że nie jest pani jakąś szaloną morderczynią? – pyta w końcu.

– Jakie jest prawdopodobieństwo, by w jednym pojeździe znalazło się dwoje seryjnych zabójców?

To stary dowcip, ale wywołuje jej uśmiech. Widzę, jak pod rondem kapelusza mruży niebieskie oczy. Ma zakurzone, przybrudzone słomą ubranie i czuć od niej lekko końskim nawozem.

Może znalazłabym pracę na ranczu? Kusi mnie to, ale po chwili przyglądam się bliżej jej umięśnionym ramionom i

porównuję je z moimi cherlawymi kończynami. Jestem bardzo przedsiębiorczą osobą. Uniknęłam już wielu kłopotów. Ale nie mam zamiaru wygrywać w najbliższym czasie żadnych zawodów w siłowaniu się na rękę.

– W porządku – rzuca nagle. – Nazywam się Lisa Rowell. Zabiorę panią do Ramsey. Niech pani wsiada.

Wdrapuję się bez wahania do kabiny starego pick-upa, z walizką pod nogami i skórzaną torbą u boku.

– Miło panią poznać, Liso.

I tak oto jestem znów w drodze.

– MIESZKA PANI w tej okolicy? – pytam, gdy ruszamy. Szyby po obu stronach kabiny są opuszczone i wiatr targa mi włosy. Znów cieszę się ze swojej spontanicznej decyzji.

– Prawie całe życie. Mam ranczo w pobliżu Ramsey.

– Konie?

– Konie, krowy i parę innych stworzeń.

– Ludzie czy zwierzęta?

Uśmiecha się.

– Chyba wszystkiego po trochu.

– Brała pani udział w poszukiwaniach Tima O'Daya?

Odpowiada skinieniem głowy.

– Kiedy on i jego przyjaciel zaginęli – mówi. – Większość miejscowych pomagała. Dostarczyłam konie dla ekipy poszukiwawczej.

– Czy miejscowi mają jakieś teorie na temat tego, co się stało?

– Natura wymaga szacunku.

– Wygląda na to, że Timothy traktował ją z szacunkiem.

Był doświadczony. Dobrze wyposażony.

Lisa wzrusza ramionami.

– Chodzi o alkohol? – pytam. – O to, że on i jego koledzy

powędrowali w góry i zamroczyli się piwem i whiskey?

– A nie robiliśmy tego wszyscy, kiedy byliśmy młodzi?

Słuszna uwaga, przyznaję.

– Czy mogło chodzić o jakieś dzikie zwierzę? – dociekam.

– O niedźwiedzia grizzly? Pumą?

– Możliwe.

– Ale mało prawdopodobne?

– Nie wychodzę w góry bez strzelby – odpowiada Lisa. – Są po temu powody. Ale nigdy nie widziałam grizzly. Baribale, owszem, ale one nie stanowią problemu. Poza tym zwierzęta nie są zbyt schludnymi biesiadnikami.

– Innymi słowy, gdyby Tima zaatakował niedźwiedź grizzly albo puma, byłoby więcej śladów. Tych trzech mężczyzn powiedziało chyba, że szukając Scotta, znaleźli krew i połamane gałęzie.

– Grupa poszukiwawcza odkryła podeptane zarośla, ale żadnej krwi. Zresztą Tim był wtedy jeszcze z nimi. Nie mówiąc o tym, że Scotta odnaleziono później całego i zdrowego.

– Może podeszło tam jakieś zwierzę, zwabione zapachem jedzenia. Mógł odstraszyć je ogień – myślę głośno. Co za bzdury! – Ale kiedy Tim oddalił się od ogniska...

Lisa prychnęła pogardliwie.

– Mówi pani jak ten łowca Wielkich Stóp – oznajmia.

– Jest ktoś taki?

– Myślałam, że należy pani do ekipy poszukiwawczej.

– Będę należała. Jak tylko ich spotkam i rzucę na nich czary.

– Kim pani właściwie jest?

– Proszę mi uwierzyć, im częściej odpowiadam na to pytanie, tym mniej ludzie mi wierzą. Ktoś tu poluje na Wielkie Stopy? Naprawdę?

– To członek Północnoamerykańskiego Stowarzyszenia Poszukiwaczy Wielkich Stóp.

Coś klika mi z tyłu głowy. Powinnam o tym wiedzieć.

– Czy Martin O'Day naprawdę wierzy, że jego syna porwał Wielka Stopa?

– Będzie pani musiała sama go o to zapytać.

– A jak pani sądzi?

Oczekuję ironicznej riposty albo nawet przewracania oczami, więc wahanie Lisy zbija mnie z tropu.

– Co? – ponaglam ją w końcu.

– Mówi pani, że odnajduje pani zaginione osoby?

– Tak.

– Czyli szuka pani ich wszystkich?

– Wszystkich... w całym kraju?

Lisa zerka na mnie.

– Wszystkich, którzy zaginęli w Popo Agie Wilderness – wyjaśnia. – Chodzi nie tylko o pijanego pana młodego. W ciągu ostatnich dwudziestu lat zaginęło tu co najmniej pięć osób.

Uświadamiam sobie, jak wiele jeszcze nie wiem.

– Czy to dużo na tak rozległym obszarze?

– Z pewnością niemało, jeśli ludzie znikają bez śladu.

– Wielka Stopa? – pytam, nie mogąc oprzeć się pokusie.

Przez chwilę milczy, a potem kręci głową.

– Albo coś innego. Ale proszę posłuchać rady osoby, która tu mieszka. Niech pani będzie cholernie ostrożna, wchodząc na ten teren.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w **formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).